

## W krainie Malajów: Obciachowa wycieczka, której wstydzę się najbardziej!

Na koniec 2008 roku zabrałem – nie wiadomo dlaczego i po co – kilkoro znajomych do Malezji. Są to ludzie normalni. Pracują na co dzień. Mają – jak każdy – swoje dylematy i problemy. Niektórzy poszukują swojej drogi w życiu. Jak każdy zwykły człowiek, który nieźle zarabia, spędzają wolny czas w galeriach handlowych, w sklepach z winami. Ulubione dania odnajdują na co dzień w KFC i w MC Donalds. Gdy się spotykają, robią sushi, bo akurat jest na to moda. Planując wyjazd nie widziałem, gdzie ich zabiorę. Wiedziałem, że gdzieś na Półwysep Malajski.

### Kij na węże

Gdy w ferworze walki na kilka dni przed wyjazdem chciałem się zabawić, wysłałem im maila z listą rzeczy, które powinni zabrać na wycieczkę. Przypomniałem im, że w Malezji jest ciepło, więc warto zabrać krem do opalania oraz kąpielówki. Zwróciłem uwagę, na to, że w samolocie jest klimatyzacja i w związku z tym warto mieć pod ręką polar. Podzieliłem się doświadczeniem i sprostowałem powszechną opinię, że Azjaci żyją na drzewach i napisałem, że podstawowe środki higieniczne można kupić na miejscu. Jako, że wieczorem mieliśmy się spotkać w celu omówienia planu wycieczki, poprosiłem ich też o pilne kupienie kijów na węże: *„Kupcie dzisiaj koniecznie w sklepie sportowym kije na węże. Koniecznie z podwójną sprężyną i w żadnym wypadku czerwone. Najlepiej kupić zielone lub żółte kije na węże tropikalne. Są wytrzymałe i skuteczne. Kupcie je dzisiaj, to pokażę Wam wieczorem jak ich macie używać. Będziemy je potrzebować od momentu, w którym wylądujemy w Azji. Nie kupujcie kijów na polskie i inne europejskie węże, bo te mają jedną sprężynę. Musi to być kij z dwoma sprężynami. Tak na wszelki wypadek.”* Pisząc tę oczywistą bzdurę, spodziewałem się uśmiechu na twarzy. A stało się inaczej: Zapracowani biznesmeni zwołali najpierw kryzysowe posiedzenia w swoich firmach. Oznajmili pracownikom, że wybierają się do dzikiej, nieokreślonej Azji, gdzie

cywilizacja nie dotrze jeszcze przez najbliższe wiele stuleci i nie wiadomo, czy wróćą żywi. Oznajmili, że w związku z wyjazdem muszą tego dnia odwołać wszystkie spotkania biznesowe i muszą osobiście wybrać się do sklepów dla trekkerów w poszukiwaniu dwusprężynowych kijów na tropikalne węże. Sekretarkom kazali zadzwonić do swoich żon, dziewczyn i konkubin, które mieli zabrać na wyprawę. Sekretarki dramatycznym głosem nakazały owym damom natychmiastowe opuszczenie salonu kosmetycznego, w którym przesiadywały od rana i udanie się w poszukiwaniu kijów na węże. Biznesmeni wsiedli do swoich luksusowych samochodów i zaczęli w pełnym obciachu przeczesywać wszystkie większe miasta południowej Polski w poszukiwaniu nieodzownego sprzętu. Gdy się okazało, że aktualnie nie ma go w asortymencie, wysłali swoje żony, dziewczyny i konkubiny do modnych ostatnio centrów medycznych. Pannie, już przygotowane kosmetycznie do wyjazdu do dalekiej Azji (nowe fryzury, sztuczne paznokcie, sztuczne długie rzęsy, które stopniowo, jedna po drugiej odpadały im później w tropiku) zażądały natychmiastowego widzenia z lekarzem, w związku z niebezpieczną wyprawą.

## Samogwałt w tabletkce

Młoda lekarka, której światopogląd kończy się na galerii handlowej, fryzjerze, orgiach organizowanych na Mazurach przez firmy farmaceutyczne, wakacjach na Majorce, po pobieżnej analizie strony internetowej sponsorowanej przez koncerny farmaceutyczne doradziła, by bezwzględnie, niezależnie, gdzie do Azji się wybierają, na dwa tygodnie przed wyjazdem zaczęli brać drogie, szkodliwe, psychotropowe środki przeciw malarii. Lekarka zabroniła im kategorycznie słuchać moich słów, w których informowałem ich, że tam gdzie jedziemy malarii nie ma. „Azja to dzicz kudłata, nawet na lotnisku w Kuala Lumpur i na setnym piętrze w klimatyzowanych Twin Towers latają komary, które sięją śmierć!” No i biedactwa faszrowali się jeszcze przez dwa tygodnie po powrocie do kraju trującymi i powodującymi nieodwracalne skutki tabletkami. Robili to ku mojemu wzruszaniu ramionami, i ku ucieście firmy, która owe specyfiki wyprodukowała i kolorową sugestywną stroną internetową oraz łapówką przekonała lekarzy do ich powszechnego przepisywania. Lekarka była na tyle nieprofesjonalna, że nie poinformowała bizneswoman o skutkach ubocznych tych trujących specyfików. Gdy za moją radą przeczytali zapisaną mikroskopijną czcionką ulotkę, najpierw z wrażenia dostali wszyscy rozwolnienia, a następnie, żądne licznego i zdrowego potomstwa panie oznajmiły swoim partnerom łóżkowym, że przez najbliższy rok skazani są na samogwałty, albowiem tabletki powodują poważne uszkodzenia płodu i nie zaleca się zachodzenia w ciążę

przez okrągły rok od zaprzestania faszerowania się kolorowymi specyfikami. Jedną trzecią bagażu moich turystów stanowiły niepotrzebne nikomu lekarstwa, maści, aerozole, kremy, specyfiki.

## Ewakuacja z dżungli

Gdy zabrałem towarzystwo do najstarszego na świecie lasu deszczowego, jeszcze przed wejściem do parku narodowego i dżungli, miał miejsce pierwszy bunt. Oświadczono mi, że w pokojach (ultraczystych, schludnych, ale prostych) nie ma klimatyzacji, na zewnątrz jest wilgotno i gorąco, latają komary, po drzewach chodzą pięciocentymetrowe gekony, w nocy z lasu dochodzi szelest i nieznanne odgłosy, wybetonowane ścieżki w parku (nie śmiałem zabierać towarzystwa na wycieczkę po bagnach!) są śliskie w czasie deszczu, makaron i ryż ze świeżymi warzywami nie smakuje tak jak w Europie, na śniadanie nie ma kawy z ekspresu z chrupiącym croissant ... i w związku z tym natychmiast musimy ewakuować się z tego niebezpiecznego miejsca. Do tego jedna z uczestniczek oświadczyła, że od tygodnia ma okres i w związku ze zmianą klimatu zamierza go mieć jeszcze przez trzy tygodnie i w związku z tym potrzebuje spokoju, komfortu i cztery razy dziennie gorącego prysznica (na zewnątrz było codziennie 30 stopni Celsjusza!), klimatyzowanego pomieszczenia i ciszy nocnej pozbawionej szmerów dochodzących od lasu. Jej spłoszony mąż uciekając panicznie przed dżunglą z położonego na skraju lasu domku zapomniał ze strachu zabrać z łóżka łpoda (tłumi w tropiku nocne odgłosy obce europejskim uszom wyczyszczonym pieczołowicie patyczkami) i z łazienki jednego klapka. Nie wchodząc do dżungli uciekliśmy z niej.

## Turystyka „ŁOŁ”

To najgorszy rodzaj turystyki. Ludzie spędzający całe swoje życie w pracy i w galeriach handlowych oraz u kosmetyczek, gdy zobaczą orła krzyczą „łoł!”. Gdy wsiadają do zabłoconego samochodu terenowego poklepują kierowcę i swoje uznanie dla jego męstwa ujawniają stonowanym „łoł!”. Gdy Młody chłopak prowadzący łódkę robi ostry zakręt na fali, najpierw usłyszy dziki wrzask i charakterystyczny dla głupich bab pisk, a następnie wielokrotne gardłowe „łoł” pokaże mu, co ludzi z Europy podnieca najbardziej. „Łoł” to słowo uniwersalne, zastępuje wiele niepotrzebnych słów, pokazuje emocje i stan ducha uczestnika wycieczki. Gdy poprzedza go dziki wrzask i pisk oznacza, że turysta wszedł właśnie w stan największego podniecenia i ekstazy.

## Joga we wszystkim Ci pomoże

Ulubione zajęcie przeciętnej kobiety z Europy to zakupy, przesiadywanie godzinami u kosmetyczki, plotkowanie co tydzień u fryzjerki, wypadki do spa. Ostatnio w modzie jest joga. Polega to na tym, że jest sobie facet, zazwyczaj przystojny, który naucza panie sztuki relaksu. Opowiada im o zdrowym trybie życia. Jest ich powiernikiem. One konsultują z nim wszystkie istotne decyzje życiowe. Z czasem zabiera je na wyjazdowe sesje plenerowe, które są nieustającą orgią. Wniebowzięte kobiety mówią na niego „mój mistrz”, „mój nauczyciel, „mój guru”. Rozmawiając ze sobą używają dziwnych słów, których nikt oprócz nich i ich guru nie rozumie. Kilka miesięcy temu dałem klucz do mojego Paszczurkowa (moje rancho na Mazurach) dwóm takim nawiedzonym kobietom. Po tygodniowym pobycie w ciszy i spokoju opuściły w pośpiechu to miejsce, nie posprzątawszy po sobie. Swą niefrasobliwość wytłumaczyły mi w ten sposób, że pokazały mi zdjęcia ogniska, które paliły przed domem. Gdy wzruszałem ramionami i mówiłem, że to ognisko, jak każde inne, one najpierw przekonywały mnie, że na zdjęciu widać tańczące duchy, a następnie zorganizowały sesję z ich „guru”, którego sprowadziły z bardzo daleka. Ten oświadczył, że trzeba tam pojechać i zrobić dokładne badania. Dyskusja o duchach skończyła się tym, że guru bzyka nadal dwie niespecjalnie atrakcyjne i sfrustrowane rozwódki, a szefowa mojego biura rachunkowego z Opola wyleciała z hukiem z pracy. Uczestniczki mojej wycieczki też codziennie pilnie oddawały się ćwiczeniom jogi. Gdy jednak przyszło iść po szerokiej równej ścieżce przez las, narzekały na szybkie tempo, na to, że się pocą, że nie idą po suchej macie i nie ma z nimi guru, który ociera się o nie i wyciera ich ciała ręcznikiem. Idąc po wybrukowanych leśnych ścieżkach wyznawczynie jogi co chwila mówiły, że umierają, obarczały swoich facetów noszeniem po lesie kilogramów kosmetyków, kremów, aerozoli. Tęskniły za cywilizacją, znienawidziły wszystko, co zielone.

## Czego potrzebuje lud?

Trafiłiśmy do Cameron Highlands, pięknych herbacianych wzgórz. Tutaj moi turyści oświadczyli, że nie chcą już chodzić. Wynajęliśmy jeepa i to okazało się strzałem w dziesiątkę. Nie ma to jak siedzieć na tyłku, puszczać bąki w fotel i przez okno oglądać świat. Gdy wjechaliśmy na wyboistą drogę, ludzie poczuli się, tak jak gdyby przeprawiali się przez bezdroża afrykańskie niczym wielki Kazimierz Nowak rowerem. Różnica jednak w tym, że turysta w dwudziestym pierwszym wieku zatrzymuje się po drodze w KFC, by zeżreć zmielone uszy krowy, sierść barana i jądra knura. Wycieczce po wyboistej drodze towarzy-

szy dziki wrzask i wykrzykiwane co kilka sekund „łot!”. I znów, zamiast zostać w malowniczej scenerii, kolektyw zdecydował, że chce do cywilizacji, na plażę.

Wylądowaliśmy na Langkawi, gdzie zobaczyłem na własnej skórze, czego tak naprawdę ludowi potrzeba w dwudziestym pierwszym wieku. Potrzeba mu leżenia plackiem na plaży. Na przemian z obżarstwem. Nie ma urlopu bez wieczornego pijaństwa. Koniecznie trzeba spać długo i na pewno nic, oprócz porannej kupy, nie wolno robić przed śniadaniem. Śniadanie musi być obfite, najlepiej bekon i jajecznica. Koniecznie kawa. Dużo kawy. Po śniadaniu trzeba puścić bąka i dopiero można zacząć planować dzień. Jeżeli umówiliśmy się z właścicielami łodzi, że nas rano odbiorą i zabiorą na dalszą część wędrówki, muszą oni grzecznie poczekać, aż wypity zostanie ostatni łyk kawy i pochłonięty ostatni tost z serem. „Zaspokoić swoją żądzę i iść spać. – Nie ma nic przyjemniejszego.” – mawiał Stalin. Miał rację. To motto, któremu hołduje człowiek w dwudziestym pierwszym wieku.

Alkoholowa orgia sylwestrowa skończyła się tym, że na stole na plaży oprócz puszek po piwie znalazły się portfele, paszporty, aparaty fotograficzne. Zdziwienie było duże, gdy jeden z kelnerów najpierw zwinął, a potem pozbył się na rzecz nieznanego kolegi aparatu fotograficznego. Największa strata to filmy tańczących pijanych roznegliżowanych Europejek. - Podrywanych i obmacywanych przez naćpanych Murzynów w rytm raegge.

Co robią w sylwestrową noc zadbana biznes women i wysmakowana architekt wewnątrz z Europy, gdy Murzyn odpowiadając na pytanie o toaletę pokazuje białe zęby, a dłoń ma skierowaną w kierunku morza i wykrzykuje „small toilet!”, „big toilet!”? – Biegną do morza, wchodzą do wody po kolana, ściągają majtki i szczają w szumie fal i pijackim rechocie. Machać gremialnie szabelką, chlać, żreć, szczać, srać, rzygać. – Oto portret Polaka. Widząc ten obrazek przeniosłem się myślami do Teatru Starego w Krakowie, gdzie w Transatlantyku genialny Mroźek szydził z Polactwa. Wróciłem też myślami do czasu, kiedy Polską przez chwilę rządziła koalicja drobnych przestępców i prostaczków z Samoobrony, zakompleksionych buraków z PIS i katolickich faszystów z LPR. Był to czas, kiedy wielu nieudaczników życiowych znalazło pracę w instytucjach rządowych. Pewnego pięknego dnia ogłosili oni, że Mroźka uczniowie w szkole nie powinni już czytać. Bo po co demaskować Polactwo? Lepszy jest wizerunek Polaka-katolika, tradycjonalisty. Wizerunek eleganckiej biznes woman i zadbanej architektki wewnątrz. Gęba prymitywa i chama wcale nie pasuje do tej idylli. Rzeczywistości nie oszukasz jednak. Zabierz kogoś na jacht na tydzień, a przekonasz się jaki on jest naprawdę. Takim jachtem jest też wyjazd do dzikawego kraju, gdzie europejski turysta ze strachu nie odstępuje Cię na krok.

Przy okazji rozważań o lekturach szkolnych przypomniałem sobie pewien zabawny i jednocześnie smutny incydent sprzed kilku lat. Wylądowałem kiedyś w Dortmundzie. Wyleciałem jak zwykle niczym petarda z samolotu, wbiłem się do taksówki i wykrzyknąłem „zum Hauptbahnhof!”. Po wczesnej pobudce o 3 nad ranem, gnaniu samochodem po nieośnieżonej drodze (wszak zima u nas zawsze, odkąd pamiętam, zaskakuje drogowców, dla których dzień rozpoczyna się o siódmej rano, a ci samobójcy, którzy wstają wcześniej, niech wylądują w rowie!) na lotnisko, staniu w kolejce do kontroli bezpieczeństwa (Tylko na polskich lotniskach trzeba odstać najpierw piętnaście minut zanim dostanie się kartę pokładową, potem czterdzieści minut czekamy, aż opryskliwy pogranicznik nas obmaca i wyda rozkazy: „krok do tyłu!”, „zdjąć buty!”, „wyciągnąć laptopa z torby!”. I przy tym ani jednego uśmiechu, ani jednego magicznego słowa „proszę”. Kiedyś uczyłem chamów ze Straży Granicznej kultury zwracając im uwagę na opryskliwe zachowania. Z biegiem czasu przekonuję się, że to nic nie daje. Trzeba stworzyć sobie świat, do którego swołocz nie będzie miała wstępu. A gdy ja czasem przejdę przez terytorium pełne chamstwa, uśmiecham się i mówię sobie, że w mojej enklawie takie typy i zachowania nie występują). Gdy następnie wystoiimy się w trzeciej już tego poranka kolejce przed wejściem do autobusu, wymarzniemy przez piętnaście minut czekając w autobusie na ostatnich pasażerów, mając jeszcze w perspektywie kolejkę na samolotowych schodach, zajmując miejsce koło niemieckich ołm, które przyleciały z rajchu zobaczyć rodzinę i siedząc narzekają na syf w Polsce, na to, że na lotnisku w Polsce zabrano im ogórki kiszzone z bagażu podręcznego i chwałę swój od trzydziestu lat nowy hajmat, mamy wszystkiego dosyć. Gdy już samolot ruszy i osiągnie wysokość przelotową, ołmy ruszają gremialnie do kibla. Gdy samolot wleci w strefę turbulencji biedne stewardessy rozganiają kolejkę i odprowadzają babcie na ich miejsca. Po kilku godzinach znoju związanego z przelotem, który trwa godzinę i piętnaście minut, wsiadamy w Dortmundzie do taksówki i mając w pamięci upodlającą podróż oraz w perspektywie cały dzień wypełniony spotkaniami, marzymy tylko o tym, by w taksówce zamknąć na chwilę oczy. A tu niespodzianka! Za kierownicą nie Turek, ale Niemiec. Prawdziwy Niemiec z krwi i kości. Po akcencie poznaję, że przybył tu z Saksonii. Jak to Niemiec z niższych warstw, jak zwykle narzeka na polityków, ma gruby brzuch, bo od rana do wieczora zajada się obleśnymi wurstami, gdzie zmielono makulaturę, tłuszcz i wodę. Nie pójdzie do Turka na kebab, bo nie wypada. Wieczorem obali pilznera i pójdzie spać. A tu niespodzianka! Mój kierowca pyta skąd przyleciałem i gdy się dowiedział, że z Polski, wyhamował odwrócił się do mnie i powiedział: „A to Wam współczuję. Dzisiaj od rana w naszych mediach trąbią o tym, że dwa kartofle, które rządzą Wami, zabroniły czytać i sprzedawać dzieła Goethego!” – To był nokaut. Po ciosach zadanych mi na lotnisku i w samolo-

cie, dostałem teraz lewego prostego między nogi. I jak tu się bronić, gdy ręce opadają, gdy samemu uznaje się władze swojego kraju za obciachowe. Nawet nie chciało mi się prostować, że tu chodzi o lektury szkolne, że w księgarniach można sprzedawać Goethego. Odpowiedziałem taksówkarzowi, że ja właśnie w tej sprawie do Niemiec przylatuję, że minister sprawiedliwości wsadził wszystkich lekarzy do pierdła, że premier zakazał używać kont bankowych, prezydent chce zostać dożywotnio cesarzem i że wprowadzono cenzurę prewencyjną. Zapytałem, gdzie są w Dortmundzie duże księgarnie, gdzie można kupić hurtowa ilość dzieł Goethego, bo ludzie wykształceni schodzą do podziemia, pojawia się drugi obieg prasy i literatury. Gdy wysiadałem na dworcu w Dortmundzie, dostałem od taksówkarzy kartkę z adresami księgarń, a jeden z nich, pochodzenia polskiego zadeklarował, że zawiezie mnie gratis gdzie tylko chcę w mieście. Dwóch kurdupli potrafi spowodować taki obciach. Mali faceci nie powinni sprawować żadnych funkcji. Powinni siedzieć cicho, nie angażować się publicznie. Mały facet ma kompleksy. Pracowałem przez kilka lat z takim jednym niemieckim prawnikiem. Rysiu Burdelarz miał zawsze wielki samochód, wielkie pióro, miał wielką brzydką żonę, gdy co tydzień w ramach podróży służbowej szedł do burdelu wybierał wielkie dziwki, miał w Warszawie wielką brzydką kochankę, biuro zawsze było wielkie, drogie, czego skutkiem była spektakularna plajta, którą zaliczył, po tym jak odszedłem z pracy zabierając mój biznes i moich asystentów. Był przytłoczony wielkością, która go otaczała. Każdą chwilę poświęcał na to, by być większy. Chodził do najdroższych knajp, do ekskluzywnych klubów nocnych (lansował się na macho). Nic to nie pomagało. Mały człowiek pozostanie mały, zakompleksiony, zawistny, złośliwy. Gdy wyleciał za tą plajtę z porządnej kancelarii, w której pracowaliśmy, założył ze swymi polskimi kochankami kancelarię. Jako, że chciał być wielki, użyczył kancelarii swoje nazwisko i powstała w ten sposób wielka i jedyna w swoim rodzaju kancelaria „Skowron Pieprzyk Kleszcz Kancelaria Prawnicza”. W międzyczasie obydwie partnerki Pieprzyka zaszyły w ciążę z nie wiadomo kim (najwięcej puszczałskich lasek jest wśród prawniczek) i tak jak on je dymał przed założeniem wspólnej firmy, tak po jej założeniu on był przez nie dymany. Wielki Rysio „Burdelarz” Pieprzyk doprowadził kolejną firmę do upadku.

Wracając do naszej pasjonującej wycieczki opowiem jak było w Sarawaku. Polecieliśmy na Borneo, bo w towarzystwie wypada się pochwalić, że się tam było. Uchodzi się wtedy za twardziela. Człowieka, który ludożerców się nie boi. W drodze na Borneo sklepy na lotnisku w Kuala Lumpur przeżyły nalot dywanowy żadnych zakupów pań. KFC opchnęło kilka obleśnawych kanapek

z niewidomo czym pod nazwą kurczaka. Starbucks wlał w wielkie żołądki kilka litrów kawy i dorzucił kilka ciastek z czekoladą.

Borneo – tajemnicza i dzika, trzecia co do wielkości wyspa ziemi. Kolektyw ogłosił, że chce do luksusu. Trafiliśmy w związku z tym do nudnego pięciogwiazdkowego hotelu. Lud był wniebowzięty. Na plaży leżaki z białymi ręcznikami. I najważniejsza rzecz: Wielki bufet na śniadanie. Bekon, parówki, kiełbasa, tosty, jajecznicza, owoce z puszek. Najdroższy i najgorszy w całej Azji świecie masaż. Ale co tam. Najważniejsze, by się nażreć, a następnie położyć na leżaku i by ktoś wmasowywał w moje cielsko olejek migdałowy. Czasami puszcze bąka, czasami wybulgotam „to!”. Żyć nie umierać. – Oto model wypoczynku Europejczyka w dwudziestym pierwszym wieku. Wieczorne zajęcia na Borneo to nie poszukiwanie rzadkich zwierzaków, ale przesiadywanie w klimatyzowanym barze, upijanie się piwem, gra w bilarda i słuchanie zachodnich szlagierów w wykonaniu miejscowych grajków. Jest jeszcze jeden istotny element pobytu na Borneo: Klimatyzacja w hotelu. I szczelne okna, przez które nie prześlizgnie się żaden niecywilizowany dźwięk. Za trzy noce zapłaciliśmy po 400 USD. Ja tyle czasem przez trzy tygodnie na wyprawach nie byłem w stanie wydać! I znów ulubione jedzenie na Borneo: Dania serwowane przez KFC. I ulubiony napój: Kawa ze Starbucks’a.

## **Wycieczka do dżungli: Z kolą i chipsami w łapie.**

Zabrałem towarzystwo, czego najszczerzej żałuję i płakać mi się chce na samą myśl, jaką głupotę zrobiłem, do jednego z piękniejszych parków narodowych w Azji. Kwaterki były duże, wygodne, schludne, bardzo czyste. Niemniej jednak w pokoju obok rozgorzała wojna. Jedna frakcja żądała, by przez całą noc chodził wentylator. Druga frakcja wyklócała się o to, by wentylator wyłączyć, bo jest zbyt głośny. Koniec z końcem nikt nie spał w nocy, bo zza okna dochodziły pomruki z lasu, świerszcze i żaby dawały koncert, a nad ranem ptaki śmiały zakłócić spokój turystom z Europy.

Panie przez dwa dni nie brały prysznic, bo się bały, że wyskoczy z niego wąż lub gekon. Na wycieczkę w poszukiwaniu endemicznych proboscisów wybrały się z puszkami coli i paczkami chipsów. Wyglądały jak baboki na plaży we Władysławowie. Dziwiły się, że znieacka zaatakowały je makaki i wyrwały kolorowe opakowania z rąk. Gdy z daleka zobaczyliśmy gromadkę proboscisów na plaży, a w ustronnym miejscu podziwiających je ludzi, chłopaki z aparatami ruszyli w pogoni za małpami. Zapomnieli jednak o tym, że homo sapiens jest wolniejszy od zwinnego zwierzaka. Nie było już małp. Był za to obciach.



Z wielką ulgą towarzystwo opuściło piękny park narodowy. Trafiliśmy do hotelu z barem w centrum miasta nieopodal Starbucks! Wreszcie powrót do normalności!

## Siedem zegarków zamiast muzeum

Ostatniego dnia trafiliśmy do Kuala Lumpur. Idąc przez market w China Town nie mogłem zdyscyplinować towarzystwa, by nie oddawało się zakupom. Zależało mi na tym, by pokazać im muzeum narodowe, by dowiedzieli się, w jakim kraju byli przez ostatnie dni. Z ulgą przyjęli informacje o tym, że muzeum jest zamknięte i rzucili się w wir zakupów. Czegoś takiego nie widziałem jeszcze: Szanowany przeze mnie kolega, wybitny fizyk, doświadczony przedsiębiorca, odczytany człowiek, biegł z wypełnionymi reklamówkami od straganu do straganu i kupował: A to markowe kalesony dla ojca, a to cztery torebki z logo Luis Vuiton dla swej konkubiny, a to siedem zegarków na każdą okazję, a na koniec czterdzieści gier play station. I tak przez dwa wieczory. I kursował co chwila do pokoju hotelowego, by wyładować podróbkowe zdobycze.

Żreć, wylegiwać się na plaży, chlać, kupować. – Oto czego pragnie turysta w dwudziestym pierwszym wieku.

Cisza, spokój, dzika nieskażona przyroda, odgłosy lasu tropikalnego. – Oto, czego wystrzega się cywilizowany człowiek.

Dobrze, że jest Hurgada, Władystawowo, Majorka, Krupówki, Bali i Phuket. – Niech tam zdycha i dogorywa cywilizacja.

Po latach ten sam człowiek przewiózł mnie łodzią do urokliwego Bako. Obiecałem sobie i jemu, że wkrótce się ponownie spotkamy



---

Wstyd mi, że zabrałem nowoczesnych „łot!”-turystów do Bako. Przepraszam Was proboscisy, że musiałyście to wszystko oglądać.

Obiecuję, że nigdy się ten koszmar nie powtórzy! Sam niedługo wracam do Taman Negara, do Cameron Highlands i do Bako!